

[...] To trudności są drogą

„To nie droga jest trudnością, to trudności są drogą”. Oto motto *Camino*, które powinno przyświecać tym, którzy na nie wyruszają. A ponieważ myśmy doświadczyli prawdy zawartej w tym jednym zdaniu, dlatego też pozwolę sobie zrelacjonować to, co w naszym rozumieniu potwierdza tę mądrość.

Pierwsze trudności pojawiły się już na etapie logistycznego przygotowania wyprawy i odnosiły się do tego, że nowe lotnisko berlińskie im. Willy Brandta, z którego mieliśmy odlecieć 5 czerwca 2012 r., nie zostało na czas oddane do użytku, co na warunki niemieckie jest niemałym ewenementem świadczącym o tym, że coraz bardziej się do siebie upodabniamy. Mało tego! Dowiedziałem się o tym z krótkiej wzmianki zasłyszanej przypadkiem w radio. Skierowane drogą internetową nerwowe zapytanie o stan faktyczny potwierdziło w pełni obawę, że lot, na który mieliśmy już wykupione bilety, odbędzie się z innego berlińskiego lotniska Tegel. Na szczęście w tym samym terminie i nawet o tej samej godzinie! Zdecydowaliśmy się na lot Lufthansą głównie z uwagi na to, że tylko ten przewoźnik nie wymagał składania i pakowania rowerów przed lotem, co – jak się później przekonaliśmy – nie do końca było prawdziwe. Zależało nam na tym, by rowery zaraz po przylocie do Bilbao były w pełni zdadne do podróży. I chociaż Lufthansa to gwarantowała, żądała za tę przysługę aż 70 euro od roweru! Ponieważ bilet lotniczy w obie strony nie kosztował zbyt dużo, machnęliśmy ręką na ten dodatkowy wydatek, mając na względzie własną wygodę oraz oczywiście jakość i pełną gotowość naszych „dwukołowych rumaków”, bo one były tu najważniejsze. Tylko dzięki nim mogliśmy dotrzeć do celu, wypełniając postanowienia pielgrzymki. Bez nich byłibyśmy na straconej pozycji,

a całe z takim trudem zaplanowane przedsięwzięcie mogło wiać w łeb. O mały włos cały plan i tak runąłby jak domek z kart, bo w porę uświadomiłem sobie, że być może nasze rowery nie zostały odnotowane jako dodatkowy specjalny bagaż. Gdy to sprawdziłem, a zapytana strona potwierdziła moje obawy, znów zadrżały mi nogi. Na szczęście tylko moje, bo współtowarzysze eskapady, nieświadomi niczego, spali spokojnie. Cały ciężar przygotowań wzięłem heroicznie na swoje barki. Na szczęście panika nie trwała długo, bo okazało się, że w ostatniej chwili udało się te nieszczęsne rowery zgłosić do przewozu, a rezerwacja została przyjęta z jednym wszak wyjątkiem, że prawdopodobnie w drodze powrotnej i tak będziemy musieli rowery zapakować, bo obsługujący linię Lufthansy samolot Eurowings nie ma tak dużego przedziału bagażowego. „Pal licho” – powiedziałem sobie – „w drodze powrotnej może być”. I pogodzony z tym faktem odetchnąłem, powtarzając jak mantrę: „to trudności są drogą”. A ta nawet się jeszcze na dobre nie zaczęła!

Jakby mało było kłód rzucanych nam pod nogi, już na berlińskim lotnisku tuż przed odlotem oddając rowery w specjalnym boksie bagażowym z trudem odnalezionym gdzieś w piwnicznej części terminalu, musieliśmy (o zgrozo!) skrócić kierownice rowerów równoległe do ram i wykręcić pedały, zmieniając ich położenie („do środka”). Taki postawiono warunek i w niemieckim stylu nie było „zmiłuj się”. O ile skrócenie kierownicy nie sprawiło nam kłopotu, to z pedałami już tak prosto nie było. Mimo posiadania stosownych rozmiarów klucza mocowaliśmy się z rowerami, nerwowo popatrując na zegarek. Czas do odlotu uciekał z każdą minutą. Jeśli któryś z cyklistów wie, o czym piszę, to skwapliwie przyzna, że to nie taka łatwa sprawa. Ale się udało! Nie tylko to, bo niemiecki służbista zgodził się, byśmy oszczędzili sobie dalszych wysiłków i poprzestali na odkręceniu... jednego pedału u każdego roweru. Cud?! Spoceni z emocji i pośpiechu zdążyliśmy zająć miejsca w samolocie.

Dalsza eskapada rokowała jak najlepiej. Czy aby na pewno? Krótkie międzylądowanie we Frankfurcie nad Menem, jak się później okazało, było również brzemienne w skutkach. Gdy już ustawiliśmy się na lotnisku w Bilbao w oczekiwaniu na bagaż, ten – a jakże – wkrótce pojawił się na taśmociągu. Sakwy firmy Crosso (polecam!!!), mimo że sklejone po dwie specjalną taśmą, teraz ukazywały się oddzielnie z prawie wypadającą z nich zawartością. Podobnie trzy rowery, choć miały przez moment trudności z wydostaniem się przez wąską szczelinę oddzielającą bagażownię od hali odbioru bagażu. I tylko moich sakw nie było! Nie pomogło nerwowe zaglądnienie do wnętrza po drugiej stronie ani dopytywanie obsługi. Nie doleciały! Zmuszony byłem rzecz całą zgłosić w specjalnym biurze, usiłując łamanym niemieckim i hiszpańskim opisać swoje sakwy, ich kolor i kształt, jak też wyjaśnić, że nie dysponuję żadnym adresem, pod którym będę czekał na powrót bagażu. Jakiś miły Niemiec, jak się okazało także pielgrzymujący (bo kilka dni później spotkaliśmy go przed *albergue* w Sahagun), próbował mi pomagać w nawiązaniu porozumienia z hiszpańską obsługą biura serwisowego, a nawet poradził, gdzie znaleźć na nocleg najbliższe *refugio*. Byłem tak zaaferowany i zagubiony, że nie umiałem sobie znaleźć miejsca! Było już dobrze po południu, około 15.00 i zastanawiałem się z moimi „współbraćmi w *Camino*”, którego jeszcze tak naprawdę nie zaczęliśmy, co robić dalej. Postanowiliśmy nie ruszać się z pomieszczenia odbioru bagażu i oczekiwać na kolejny samolot z Frankfurtu, licząc na to, że za trzy godziny bagaż do mnie trafi (o ile został zapomniany we Frankfurcie, a nie w Berlinie). Jednocześnie rozważaliśmy inny wariant, aby poczekać do rana dnia następnego, a gdy sakw nie będzie, kontynuować podróż, dzieląc się zarówno odzieniem, jak i bielizną. Na szczęście wszystkie niezbędne leki na nadciśnienie oraz kosmetyki miałem ze sobą w bagażu podręcznym. Nawet był tam kask rowerowy.

Jakiś fatum musiało chyba nade mną ciążyć, bo podobny przypadek z bagażem, który nie doleciał, przeżyłem kiedyś w dalekiej Kanadzie, w Toronto, gdy wylądowałem i musiałem czekać prawie

trzy dni na jego odzyskanie. Tam na szczęście miałem zakwaterowanie i w końcu przywieziono moją walizę pod wskazany adres. Ale tutaj? W tej sytuacji pozostało tylko jedno: prosić w modlitwie św. Antoniego, niezawodnego pomocnika w sprawach beznadziejnych. Tak też uczyniłem. Przecież wiele razy mi dopomógł i wysłuchał. Moi współtowarzysze, także jego gorący wyznawcy, zrobili to samo z głębi serca, w cichej modlitwie. Przy takim wsparciu błagalna modlitwa zyskała na sile, utwierdzając mnie w przekonaniu, że bagaż powróci. I co powiecie? Dotarł! Co prawda nie po trzech godzinach, ale nieco później, bo przylot był opóźniony. Gdy zaciśkałem z niepokojem ręce wpatrując się z uwagą w czeluść okienka, zaraz dostrzegłem charakterystyczny kształt czerwono-czarnych sakw. Moja radość nie miała granic. Zacząłem biec podniecony, wykrzykując entuzjastycznie, co udzieliło się także pani z *servisco*, która wcześniej nagabywana przez mnie o czas przylotu powątpiewała, czy w ogóle mój bagaż doleci. A jednak doleciał! I teraz ona na równi ze mną podskakiwała z uciechy. Podniecony i zaaferowany całym zdarzeniem nie zamierzałem dochodzić, dlaczego nie przepakowano mojego bagażu we Frankfurcie. Widocznie solidnym Niemcom i Lufthansie też to się zdarza! Mimo tylu wrażeń nie zapomniałem podziękować św. Antoniemu za pomoc. Zresztą dzień później dałem raz jeszcze wyraz swojej wdzięczności, zapalając w Vitorii-Gasteiz elektryczną „świeczkę” przy ołtarzu z Jego figurą. Najbardziej zdumiewające w tym całym zdarzeniu było to, że moje sakwy, tak samo spięte paskami i ofoliowane jak sakwy moich towarzyszy, dotarły całe i nienaruszone. Czyżby był to element sprawdzenia nas przez Opatrzność, wystawienia na próbę? Jeśli tak, to znaczyłoby, że nasze *Camino* naprawdę teraz się rozpoczęło. Choć niektórzy twierdzą, że zaczyna się ono już za progiem własnego domu.

A potem była mordercza wspinaczka i pierwszy nocleg, gdzie popadnie. Ale po kolei... Trochę czasu zajęło nam zrozumienie mówiących słabo po hiszpańsku baskijskich taksówkarzy przed terminalem, pytanych o to, jak wydostać się z lotniska i dotrzeć do

planowanej drogi na Burgos. Ponieważ nijak nie mogliśmy zrozumieć wypowiedzianych przez nich ze swadą porad, postanowiliśmy wsiąść na rowery i jadąc kierować się instynktem, a w chwilach zwątpienia pytać kogoś o dalszą drogę. Wyruszyliśmy spod lotniska o 19.00, by w ciągu dwóch godzin przejechać zaledwie... 18 km! A raczej przejść, bo droga okazała się „drogą przez mękę”, gdyż przez większość trasy musieliśmy pchać rowery pod górę, długo nie widząc szczytu, choć tak pragnęliśmy go ujrzeć. Teraz wiem, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, że aby wydostać się z lotniska do Bilbao, trzeba pokonać spore wzniesienia dzielące miasto od aeroportu.

To była nasza kolejna konfrontacja z trudnościami. Wpierw mordercza wspinaczka, a potem zjazd na łeb na szyję w dół, z powrotem do Bilbao. Uważaliśmy przy tym, by – broń Boże – nie skręcić na Donostię (San Sebastian), ostrzeżeni przez życzliwego doradcę spotkanego w drodze. Na którejś ze stacji benzynowych uprzejmy kierowca dopiero co zatankowanego auta poinstruował nas, że najlepszą drogą jest N-240 na Vitoria-Gasteiz i dopiero stamtąd powinniśmy jechać do Burgos. Nie inaczej, bo wszystkie pozostałe drogi (z wyjątkiem autostrad) wiodą serpentynami wśród jeszcze wyższych szczytów. Posłuchaliśmy go, ale już zbliżał się zmrok i trzeba było myśleć o noclegu. Tylko gdzie? Doświadczony kolega Gąsior, zaprawiony w tego typu eskapadach, zaproponował popas „w polu”, wskazując na pierwszy napotkany plac budowy na skraju miasta. Wybraliśmy jakiś trawnik pełen gruzu tuż za skrywającym nas kontenerem-baraczką i z braku namiotu rozłożyliśmy na ziemi szeroką drelichową plandekę Gąsiora, a na niej nasze nadmuchiwane karimaty i śpiwory. Na szczęście nie padało, a Gąsior „był w siódmym niebie”, bo upodobał sobie takie spędzanie nocy „na dziko”. Z hermetycznie pakowanych produktów i bułek zabranych z Polski zrobiliśmy naprędce prymitywną kolację. Nieszczęściem tego miejsca było to, że znajdowało się blisko autostrady oraz innej drogi, z którą się krzyżowała, więc nieustanny szum jadących aut nie pozwalał spokojnie zasnąć. Wkrótce do

warkotu aut dołączył jazgot nocnych ptaków, rechot żab w pobliskim kanale i pohukiwanie puszczyka. Tylko jedno dobre można o tym miejscu powiedzieć – wszędzie tam rośla mięta i jej przyjemny zapach nieco zmniejszał niedostatki tego prymitywnego campingu.

Z kolejnymi trudnościami przyszło nam się zetknąć już wkrótce, a ich nagromadzenie na początku drogi dawało wiele do myślenia. Jeśli były to tylko „złe dobre początki”, to tliła się w nas nadzieja na przetrwanie i zaciskaliśmy zęby, licząc na poprawę sytuacji. Musiał ją mieć zwłaszcza Jan, mój szwagier, niedoświadczony rowerzysta, który jeśli dotąd jeździł, to na cudzych rowerach, a używanego „holendra”, którego dosiadał tutaj, zakupił tuż przed wyprawą. W związku z tym miał trudności ze zrozumieniem zależności między trzema przednimi trybami i tylną kasetą dziewięciu zębatek. Zły wybór tzw. „przełożeń” powodował, że z każdym dłuższym podjazdem zostawał daleko w tyle. To było jego osobiste *Camino*, zmaganie się ze skomplikowaną mechaniką roweru. Musieliśmy więc z Gąsiorem udzielać mu lekcji instruując, w jaki sposób posługiwać się przerzutkami w zależności od ukształtowania terenu, a nawet podnieśliśmy mu wyżej siodełko roweru, by miał lepszy nacisk na pedały, bo ten „kawał chłopa” siedział nieco pokracznie i zbyt nisko. A zaczęliśmy się naprawdę wspinać po uciążliwej 7-procentowej stromiźnie szosy. Wyprzedzały nas co chwilę wolno jadące auta i TIR-y i dawało się słyszeć, jak ich kierowcy redukują biegi na licznych i ostrych zakrętach. Z kolei z góry z ogromną prędkością mknęli co jakiś czas hiszpańscy kolarze, którzy upodobali sobie to wzniesienie dla treningu. Wielu pozdrowiało nas okrzykami lub choćby skinieniem głowy, a my zazdrościliśmy im tej „lekkości bytu”. Im wyżej i bardziej stromo, tym częściej zsiadaliśmy z rowerów, pchając je z uporem pod górę i czasem zalegając w rowie dla nabrania oddechu i ucieczki przed coraz intensywniej świecącym słońcem. Pięliśmy się tak pod górę bodaj 7 km. Wreszcie dotarliśmy na szczyt przełęczy Puerto de Barazar, wznoszącej się na wysokości 606 m n.p.m., mając nadzieję, że dalej

powinno już być tylko „z górki”. Na szczęście tak się stało i już bez przeszkód dotarliśmy wreszcie do miasta Vitoria Gasteiz.

Następnego dnia nie wiedzieliśmy jak stąd wyjechać, by skierować się do Burgos. Niespodziewanie tuż za miastem skończyła się bowiem normalna krajowa szosa, którą jechaliśmy, stając się nagle autostradą, na którą nie mieliśmy jako rowerzyści wstępu. Nijak nie zgadzało mi się to z mapą, ale kładłem to na karb postępu w drogownictwie hiszpańskim, za którym nie nadążali kartografowie. Dawne drogi szybkiego ruchu zamieniono na autostrady, nie oferując w zamian dróg równoległych i pospolitych, dostępnych dla wszystkich. Gąsior nie chciał mnie posłuchać, żebyśmy się tym nie przejmowali (nasza droga miała jednocześnie oznaczenie czerwone jako *carretera nacional* [N-1] i niebieskie jako autostrada [A-1]), więc dla „świętego spokoju” zaczęliśmy poszukiwanie drogi alternatywnej, pytając o nią co i rusz w najbliższych wioskach kolejnych napotykanym tubylców. Każdy tłumaczył nam chętnie i z przejęciem jak jechać. Jedni mieli wątpliwości co do wyboru kierunku, a inni jeszcze starali się nas „holować” za samochodem, wskazując zupełnie odmienną drogę, więc podążaliśmy za tymi przewodnikami tracąc powoli nadzieję, krążąc gdzieś sfrustrowani po strefie przemysłowej Vitorii, by w końcu po 1,5 godziny błędzenia znów wjechać... na autostradę! Tym razem nie zastanawiałem się i nie widząc innej możliwości ruszyłem przed siebie szerokim poboczem szosy, a za mną podążyli dwaj towarzysze. Nikt nas nie niepokoił, więc ze znaczną szybkością pokonywaliśmy kolejne kilometry, aż w pewnym momencie dojrzelśmy biegnącą równoległą do autostrady drogę na Burgos. Kiedy tylko przydarzyła się możliwość, zjechaliśmy z ulgą na tę opustoszałą szosę.

Stąd moja rada dla wszystkich wybierających się rowerem na *Camino*: zaopatrzenie się w aktualne i jak najbardziej szczegółowe mapy drogowe albo najlepiej w rowerowe GPS-y! Przydadzą się! Lepiej zjechać „daleko od szosy” na luzie, licząc na zobaczenie czegoś ciekawego, aniżeli nerwowo poszukiwać drogi!

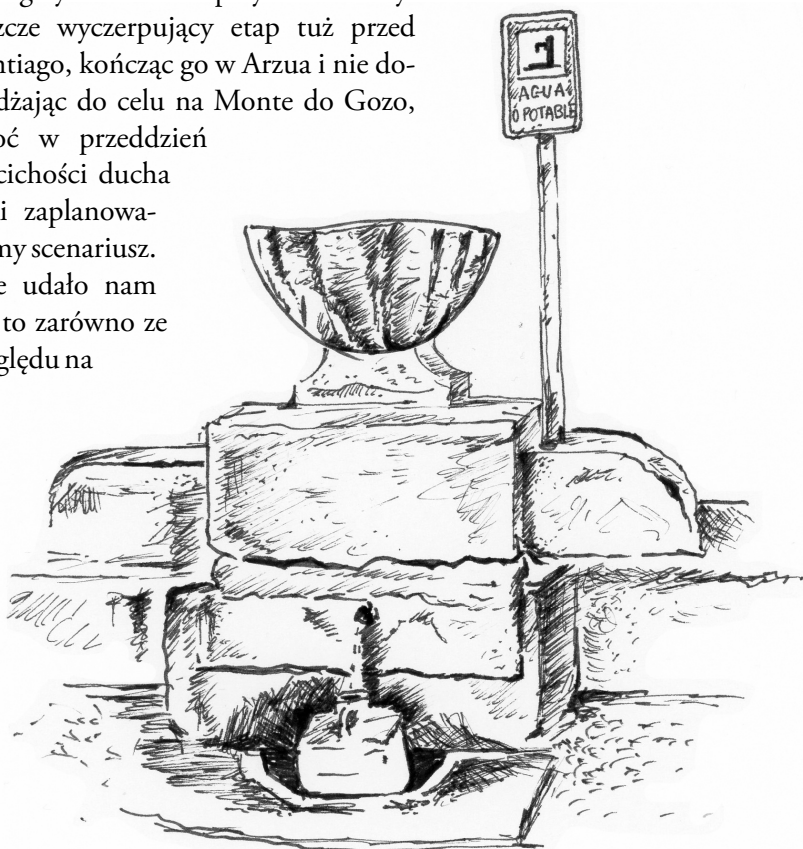
Kolejne „schody” napotkaliśmy jeszcze tego samego dnia już po minięciu Miranda de Ebro w postaci niezwykle silnego wiatru wiejącego prosto w twarz. Choć cieszyło nas, że wreszcie mamy za sobą wzniesienia i teraz już czeka nas tylko płaska droga do samego Burgos, to wkrótce przekonaliśmy się, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Porywy wiatru były na tyle intensywne, że w połączeniu z siłą podmuchu wywoływanego przez mijające nas TIR-y wyszarpywały nam kierownice z ręki, a rowery wręcz stawały w miejscu. W tych warunkach pokonanie choćby kilometra było okupione znacznym wysiłkiem. Wiedzieliśmy już, że do Burgos przy tej pogodzie nie dojedziemy i musimy szukać miejsca kolejnego odpoczynku, zwłaszcza że przed nami pojawiły się znów góry ze sterczącymi nagimi skałami, przypominające nasze Pieniny. Ponieważ przy drodze dostrzegłem reklamę jakiegoś campingu, postanowiliśmy go znaleźć i dotarliśmy wkrótce pod jego bramę. Dowiedziawszy się od właściciela, że możemy przenocować za 3,50 euro od osoby, zdecydowaliśmy się na przerwę w podróży, mając i tak na licznikach 55 km. Camping nazywał się *El Desfilados* i znajdował się tuż przed miejscowością Pancorbo (lub Pancorvo – etymologia nazwy: ciekawy, interesujący). Widać było, że miejsce to nosi ślady dawnej świetności, bo w dole spostrzegliśmy sporych rozmiarów zaniedbany basen z resztką zielonkawej wody, a wokoło stało wiele podupadłych i o tej porze zamkniętych niewynajmowanych altanek i domków campingowych. W dość zrujnowanej łaźni był na szczęście jeden sprawny prysznic z ciepłą wodą, która ożywiła nasze zmęczone w walce z wiatrem członki. Tę noc znów spędziliśmy na skrawku trawnika pod prymitywnie skleconym z plandeki Gąsiora namiotem i w swoich śpiworach. Do snu tulił nas zapach rosnących wokół róż oraz wino *Castillo de Montoro*, którego butelkę kupiliśmy w stojącej w dole pustej restauracji należącej do właścicieli campingu. Z oddali dobiegał szum autostrady biegnącej wysoką estakadą niknącą gdzieś w górach spowitych ciemnymi chmurami.

Wiatr dokuczał nam i w kolejnych dniach. Towarzyszył mu dojmujący chłód, który jak na warunki klimatyczne Hiszpanii wydał się nam czymś nienaturalnym. Doświadczaliśmy tych kapryśków aury szczególnie podczas pokonywania pofałdowanego płaskowyzu zwanego mesetą oraz wysoko w górach (co jest bardziej zrozumiałe). W drodze do Sahagun wiało tak mocno, że prędkość naszych rowerów nie przekraczała 10 km/h, a gdy zdarzało nam się pędzić z góry, to osiągalimy zawrotną szybkość... 15 km/h! Trzeba było wtedy mocno trzymać kierownicę, bo łatwo można było stracić równowagę. Dobrze, że ów nieznosny wiatr nie miał za towarzysza deszczu. Innym razem zdarzyło się, że wiatr gdzieś zniknął, niebo było pogodne i bez jednej chmurki, ale za to droga pięła się niemiłosiernie stromo, pozwalając na jazdę prawie „w miejscu”, w tempie 6-7 km/h Tak było podczas wspinaczki na Cruz de Ferro (najwyższe wzniesienie na całym *Camino*, położone aż 1504 m n.p.m. w drodze do Ponferrady) w dniu imienin św. Antoniego, naszego orędownika i przewodnika. Widzieliśmy ośnieżone szczyty i ten nasz wierzchołek zaledwie w zasięgu ręki, lecz by go zdobyć, trzeba było uzbroić się w cierpliwość i dać z siebie wszystko. Ale też nasz patron zasługiwał tego dnia na każdy wysiłek!

Najdziwniejszego zjawiska pogodowego doświadczaliśmy jednak tego samego dnia podczas szaleńczego zjazdu z Punto Alto do Molinaseca. Gnaliśmy w dół szosą wijącą się licznymi serpentynami ze strachem w oczach, hamując impet szaleńczego zjazdu naciskaniem obu hamulców naraz. I choć świeciło słońce, nam było przerażająco zimno i przenikał nas lodowaty chłód. Podobnych wrażeń doświadczaliśmy, zjeżdżając później z Alto do Poio (na wys. 1335 m n.p.m.) do Triacasteli, kiedy nie tylko było przejmująco zimno, ale wiał w porywach tak silny wiatr, że gwałcił korony drzew i wstrzymywał nasz szaleńczy zjazd (dochodzący miejscami do 50 km/h!). Wtedy kurczowo trzymając kierownicę cieszyliśmy się z tego, że na swoich głowach mamy kaski.

Nim jednak doszło do tego imponującego zjazdu, musieliśmy pokonać najtrudniejszy etap na całym *Camino*, który w sercach wielu pielgrzymów zapisał się zapewne czymś niezwykłym i pamiętnym. Nie wszyscy bowiem pielgrzymi dostępowali łaski pokonania gór Galicji, zmuszeni osłabieniem do zakończenia pątniczej wyprawy i przejścia przez *Puerta del Pedron* (Bramę Przebaczenia) w Villafranca del Bierzo, by otrzymać rozgrzeszenie i zwolnienie z dalszej drogi do Santiago. Myśmy tej łaski dostąpili, choć wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo. Czekąło nas jeszcze jedno wyzwanie, a było nim dostanie się do O’Cebreiro, najstarszego miejsca na trasie położonego na wysokości 1360 (inne źródła podają 1391) m n.p.m. Aby je osiągnąć, należało pokonać kilkusetmetrowe przewyższenie terenu. Odnosiliśmy wrażenie, że jakaś siła spycha nas w dół, jakby cel naszego etapu był magnesem o tym samym biegunie odpychającym nas od siebie. Nie było co marzyć o wjechaniu! Mogliśmy tylko pchać swoje obciążone bagażem rowery, przystając co chwilę ze zmęczenia i pojąc się wodą z bidonu. Słońce przypiekało niemiłosiernie, a podejście było coraz bardziej strome. Od pchania kierownicy bolały mnie nogi, ręce, lewy staw biodrowy, dawało się we znaki nadciśnienie i zatykał przyspieszony oddech. Janowi na dodatek doskwierał od jakiegoś czasu przykurcz dłoni utrudniający prowadzenie roweru. Tylko zaprawiony w boju Gąsior, nie zsiadając z roweru, mozolnie wjeżdżał na górę, kiwając się na siodełku to w lewo, to w prawo, by za chwilę paść w przydrożnym rowie w oczekiwaniu na mnie i Jana. Widzieliśmy dachy La Faby na sąsiednim stoku i liczyliśmy już nie kilometry, ale metry. W pewnym momencie na asfalcie drogi ukazał się jakże miły dla oka napis: „1000 m – bar”, mobilizując do jeszcze jednego wysiłku. Kiedy pokonaliśmy ten odcinek, okazało się, że nie jest to niestety O’Cebreiro, lecz mała wioseczka Laguna de Castilla, a do celu wspinaczki zostało jeszcze około 2 km. Widać było, że nie dane nam było cieszyć się zbyt wcześnie. Opatrzność uznała, że zasługujemy jeszcze na odrobinę pokory i wyrzeczenia. Dostaliśmy nauczkę! Wyznam, że kiedy z takim trudem pchałem swój rower na wzniesienie, uzmysłowiłem sobie nagle, że patrząc z góry na

przecinając się linię kierownicy i ramy z kołami ma się wrażenie, że rower przybiera kształt krzyża. Czy to właśnie był mój „krzyż”, który niosłem, a raczej pchałem na swoją Golgotę? Jeśli nie popełniam świętokradztwa tym porównaniem, to przyznam, że tak wtedy czułem. Byłem jednak szczęśliwy, że idę, wierzyłem, że dojdę i ufalem, że mój trud nie pójdzie na marne! Na O’Cebreiro nie kończyły się nasze zmagania... Tu kończył swoją przygodę z *Camino* bohater książki Paula Coelho „Pielgrzym”. Nam przyszło zaliczyć jeszcze wyczerpujący etap tuż przed Santiago, kończąc go w Arzua i nie dojeżdżając do celu na Monte do Gozo, choć w przeddzień w cichości ducha taki zaplanowaliśmy scenariusz. Nie udało nam się to zarówno ze względu na



Wodopój w Miranda de Ebro

deszcz, który wreszcie nas dopadł, jak i na nadspodziewanie trudne ukształtowanie trasy przypominające to do Portomarin – *carretera national* pełne licznych podjazdów i zjazdów. O ile zjazdy dawały nogom wytchnienie, to podjazdy były niezwykle długie i mordercze. Co chwilę wjeżdżaliśmy na dużej szybkości do jakiejś wioski w dolince nad wijącą się rzeką, by za moment wydostawać się z niej z trudem naciskając na pedały. Powtarzało się to aż do znudzenia i wciąż zadawaliśmy sobie to samo pytanie: „kiedy to się wreszcie skończy?”. Szczególnie utkwiła mi w pamięci miejscowość Melide, ciągnąca się nieskończenie wzdłuż wznoszącej się wciąż do góry szosy. Miałem jej dość! Na dodatek tuż przed tym, jak skończył się deszcz i wreszcie wyszło zza chmur słońce, Gąsior „złapał gumę”. Pierwszą od wyruszenia z Bilbao, choć później zdarzyło mu się to raz jeszcze. Być może stało się to dlatego, że zwykły podczas krótkiego postoju stawiać rower na poboczu, a ono zwykle pełne było ostrokrzewów, kolców i wszelkiego śmiecia gotowego przebić oponę. A może dlatego, że nie zadbał o rower przed podróżą, bo jego dętka była już zużyta i nosiła ślady dwukrotnego łatania? Jan miał potem podobne dwie „wpadki”, ja zaś żadnej. Obaj dziwili się, jak ja to robię? Powiedziałem im pół żartem, pół serio, że ja ze swoim rowerem... rozmawiam i traktuję go jakby był częścią mnie samego, utożsamiam się z nim, obdarzam ciepłym i pieścizotliwym słowem, witając się z nim co rano w *albergue* oraz błogosławiąc przed podróżą. Czyż nie święci się pojazdów, by wiodły jak najbezpieczniej?

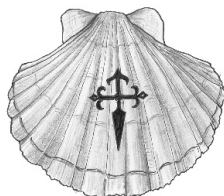
Jeszcze jeden epizod wart jest opisania. To, co przydarzyło się Janowi, gdy walczył nie tylko ze słabością, przertzutką, ale i nieustającym nękającym go łaknieniem. Zwykle zabieraliśmy ze sobą zapas wody takiej z kranu, pitnej (*aqua potable*) albo zaopatrywaliśmy się w nią po drodze, najczęściej korzystając z przydrożnych lub wioskowych wodopojów, jakich mnóstwo na całym *Camino*. Ale pewnego razu wszystko sprzysięgło się przeciwko Janowi: zbyt intensywne słońce, szybkie wyczerpanie zapasu wody, wysiłek podjazdów, posucha pustkownia pozbawionego wododajnych „oaz” czy

choćby najzwyczajszego kranu – wszystko to sprawiło, że Jan, któremu zasychało w gardle, zaczął rozglądać się za jakąś... butelką w rowie, z nadzieją, że znajdzie w niej choćby odrobinę napoju, którym zdoła ugasić pragnienie. Jakoż i pośród pustych plastikowych butelek po „Fancie” i „Coca-Coli” znalazł jedną częściowo wypełnioną. Kiedy jednak podniósł ją do ust, chcąc zaczerpnąć łyk żółtawej zawartości, ze wstrętem odrzucił butelkę jak najdalej od siebie. Kazał mu to uczynić silny zapach czegoś wstrętnego w środku, może zepsutego trunku lub... moczu, którym była wypełniona. Prawdopodobnie to któryś z przejeżdżających wcześniej kierowców pozbył się jej w dogodnym momencie wyrzucając przez okno i nie zdając sobie sprawy, że może ona kogokolwiek skusić. Koniec końców zaspokoiliśmy Janowe pragnienie, dzieląc się z nim po samarytańsku naszymi zapasami, choć pewnie nieraz wracało do niego wspomnienie tamtej przygody i desperackiej, powziętej pod wpływem chwili dramatycznej decyzji.

Nie będę już wspominał stada sępów krążących złowieszczo nad naszymi głowami przy drodze do Burgos nie wróżących niczego dobrego ani ulewnego deszczu, który nas bezlitośnie zmoczył, gdy wracaliśmy z niezapomnianej mszy w katedrze w Santiago de Compostela, gdzie doszczętnie zniszczył on ekran licznika przejechanych kilometrów. Mieliśmy to szczęście, że nie nękali nas zbójcy ani chytry przewoźnicy czy chciwi poborcy myta. Nie brakowało nam, jak naszym poprzednikom w średniowieczu, wygodnych miejsc schronienia przed nocą, spiekotą i deszczem. Czymże więc były te wszystkie nasze niedostatki i niedomagania, jeśli zważy się, że inni mieli o wiele gorzej? Także nam współcześni? Gdy o tym wszystkim teraz rozmyślam, mam więcej niż pewność, że cała trasa do Santiago i tak była zaplanowana nie przeze mnie, lecz przez Kogoś Mocniejszego niż ja. Tego, o Kim powiedział Jan Chrzciciel, że nie jest godzien „...aby się schylić i rozwiązać rzemyk u Jego sandałów”. Ta droga musiała się wypełnić tym wszystkim, co nas spotkało i nie pozostawia wątpliwości, że nie było to przypadkowe. *Camino* to w tłumaczeniu jedynie „droga”, ale teraz wiem, że to

nie jakaś zwykła szosa, ścieżka na przełaj, ale Wyjątkowy Szlak – pełen wyrzeczeń, pokory, niezwykłych przeszkód do pokonania oraz doznań dla każdego innych, choćby szedł z grupą... Żeby go pokonać, trzeba uzbroić się w cierpliwość, mocno wierzyć w powodzenie przedsięwzięcia, znajdując ulgę w modlitwie. Ileż razy moje usta same ją wypowiadały, gdy pot zalewał twarz, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Wtedy również mocy dodawały powtarzane bezgłośnie intencje, dla których rzuciłem wyzwanie nieznanym trudnościom, decydując się na tę pielgrzymkę. Dla nich warto było się nie poddawać. Zwłaszcza że łaskawość losu była aż nadto widoczna i sprzyjająca. Co by było bowiem, gdyby na lotnisku w Berlinie nikt z nas nie miał... klucza do odkręcenia pedałów? Albo gdyby nie doleciały rowery zamiast mojego bagażu? Można te pytania mnożyć. A przecież wszystko się udało i po dojechaniu do Santiago nic już nie było trudnością.

A drogi hiszpańskie są czyste, bezpieczne i wygodne...





W drodze na przełęcz Barazar



Na przełaj do Burgos



Droga na zach. stronę przylądka i atlantycką plażę w Fisterra



Kamień milowy – „0 km”.
Koniec Ziemi i pielgrzymki